

Nr. 2. Poznań, dnia 11 Stycznia 1879. Rok II.

KLARA.

Powieść

Pauliny z L. Wilkońskiéj.

Wiatr jesienny zrywał z drzew liście, zawodząc po chodnikach ogrodu; na trawnikach pożółkła trawa; ostatnie georginie zwarzone pierwszym szronem barwne pozwieszały główki. Po oknach obszernego dworu, deszcz ulewny uderzał — gdy przy jedném z nich stanęła młoda i ładna kobieta, wysełając wzrok zamyślony, tęskny czy znudzony, w przestrzeń dżdżystą i wietrzną. W ręku trzymała książkę. Usiadła na taborecie, czytała daléj jakiś romans francuzki — i ziewając, porzuciła znowu. Przeszła się po salonie. Stanęła przed zwierciadłem i ciemne przygładziła włosy; przypatrzyła się wdzięcznym licom i uśmiechnęła się niby sama do siebie, białe i drobne pokazując ząbki; poprawiła stanika, przylegającego do składnéj kibici, zamiotła długim powłokiem szafirowéj sukni tybetowéj — i znowu usiadła przy oknie, podejmując romans. Westchnęła zlekka. Poszarzało na dworze, porzuciła czytanie, wsparła czoło na dłoni i zamarzyła: Jakżeż to tam inaczéj w Paryżu — Warszawie — w dużem mieście, spędzać można dni słotne i przydługie już wieczory!....



Pułkownik Andrzéj Niegolewski.

Widziała oczami duży piękny salon, oświetlony — w nich Rastignac' ów, Manson' ów, jak w romansach Balzac'a, a wreszcie dandysów naszych, — salonowych bohaterów — literatów — artystów — a składających jéj hołdy! Wyobraźnią rozbudzona chwytała ich rozmowy zajmujące — dowcipy — muzykę — śpiewy gwary wesołe..... a tutaj wkoło niéj była przykra próżnia — szara godzina — na dworze wiatr i słota.....

Szybko drzwi otworzono i wszedł mężczyzna wysoki, zręcznéj postaci, z ciemnym wąsem i hiszpanką.

— Cóż tak ciemno siedzisz, Klarcio? zapytał — i zadumana, czy smutna?

— Paweł nie zapalił jeszcze lampy — odrzekła — czytałam.... a teraz dumałam. Jeździłeś konno, Lucyanie?

— Tylko do Bagniówki; miałem do owczarza interes.

Służący wniósł lampę. Klara przy stole usiadła, przysuwając koszyk z robotą krzyżową.

Lucyan po pokoju chodził.

— Posłuchaj, Klarcio! wymówił, pochylając się ku niéj z dobrodusznym uśmiechem, gdy siwe jego pojaśniały oczy.

Uniosła ku niemu dwoje óczu piwnych a wymownych wielce: pytały wyraźnie, co jéj powie.

Ujął jéj drobną i białą rączkę.

To i cóż masz powiedzieć? zapytała — wytrzymujesz mnie nielitościwie.

— Powiedz, aniołku, czy chciałabyś zimę przepędzić w mieście?

Zapłonęła zlekka, a wdzięczne lica niby nagły rozświetlił promień.

— W mieście? Zapytała z półuśmiechem: wspomniała, że co dopiero pomarzyła o salonie w mieście.....

— Tak jest w mieście, lecz tylko w P.

— W P.? zdziwiła się Klara.

— Antoś ma tam sprawę o 200,000 zł., której dopilnować potrzeba. Dla niego staje się to niepodobném: mieszka od P. o mil 40, a żonę ma słabą. Zatém prosi mnie, bym się zajął. Oczywiście, że wszelkie nagrodzi koszta. Jeździć każdego tygodnia do P. i po dni parę lub kilka tam posiedzieć, arcy-nudną i mozolną byłoby rzeczą.....

— I cóżbym ja tutaj sama poczęła? złożyła dłonie.

— Otóż właśnie! Zatém wolę w P. nająć mieszkanie na trzy, cztery miesiące i pilnować ściśle i skrzętnie interesu Antosia. Ale czyliż to tobie dogodzi? zapytał, pochylając się ku niéj z uśmiechem.

— Wszakżeż będę z tobą! objęła szyję jego ramionami. Lucyan pocałował ją w czoło.

— Wreszcie P. jest dość dużem i mieszka tam rodzin kilka obywatelskich na zimę; są urzędnicy, z którymi żyć można; jest teatr, podobno niezły wcale, bywają koncerta i bale.

— O bale nie chodzi mi wcale — pokręciła głową.

— Ej, potańczysz, choćby na jednym! pogłaskał ją po licu.

Uśmiechnęła się.

— Więc zgadzasz się na tę kwarantanę w P.

— Skoro ty będziesz razem. Tutaj, sama jedna, umarłabym z tęsknoty i nudów.

— Nie miałbym sumienia ciebie tak zostawić.

— To i kiedyż wyjedziemy?

— Zaraz po Nowymroku. Napiszę dziś jeszcze, by nam poszukali i najęli mieszkanie: z pięć, sześć pokoi, z kuchnią i śpiżarnią. Możemy wiele rzeczy mieć z domu.

— Daleko ztąd do P.?

— Sześć mil. Miasto wcale ładne: nie Warszawa ani Kraków, ale przyjemnie urządzić się można. Idę list napisać — pocałował ją w czoło i wyszedł.

Klara odłożyła robotę. Chciała czytać, lecz myśli zebrać nie mogła. Przebiegała pokój — i różne przeróżne stawały przed nią obrazy: wymarzone na romansach Balzac'a, Georg Sand, Delfiny Girardin, hr. de Viel-Castel i t. p. — Jawiły się opisane tam damy wielko-światowe — i młodzież. Widziała siebie przyjmującą elegantów różnych: to w salonie, to w loży teatralnéj..... Może i stanie się heroiną jaką!.. Och, ruszyła ramionami i rozśmiała się: to i cóżby szkodziło, gdyby w niéj zakochał się który?.... Wzdrygnęła ramionami. Lucyan wszedł do pokoju — i rzuciła mu się na szyję.

Klara była od lat trzech żoną Lucyana Trzebiewskiego.

Związek ich połączyła miłość wzajemna i wybór serca i błogosławieństwo rodziców, zatem odpowiadali sobie wykształceniem i sposobem myślenia, a i pod względem materyalnym losy wyposażyły ich pomyślnie — i też byli szczęśliwi. Od pewnego jednak czasu Klara nudzić się poczęła, bo jéj nie nauczono, by sobie czas swój potrafiła zapełnić — i był to wielki, przewielki niedostatek w wychowaniu kobiety, które nazywano staranném. Ale powiędzmy i uderzmy się w piersi, że w tém właśnie chybiają często, arcy-często — a raczéj zaniedbują tę najważniejszą stronę niewieściego wychowania.

Klara straciła zaraz w drugim roku córeczkę, która tylko niewiele dni pożyła — zatém zbywało jéj na macierzyńskich obowiązkach; do zarządu domu miała wzorową gospodynią i nie potrzebowała troszczyć się o nic; było to życzeniem jéj mamy i troskliwego małżonka. Lubiła ogród, kwiaty — ale tém nie zajmowała się sama; niekiedy nawet i samotna znudziła ją przechadzka. Umiała różne robótki — ale, ot, tak tylko, by czasem coś wziąść do ręki. Grała dość ładnie na fortepianie — ale rzadko i grała sama dla siebie — gdyż słuchacze nie jawili się często. Sąsiedztwa było mało, a jeszcze i nieodpowiednie, gość rzadkim. Zatém jedyną rozrywkę stanowiła czytanie — a mianowicie téż romanse francuzkie, które pochłaniała. W nich oswoiła się z życiem salonów paryzkich — i pokochała je. Umiała uobecnić sobie wszystkich bohaterów i bohaterki beletrystyki francuzkiéj — i niby żyła z niemi: wmarzyła siebie w to koło — mimowolnie, mimowiednie niemal rozburzoną fantazyą przedzierzgiwała się sama niekiedy w jakąś tam heroinę romansową.

Lucyan zajęty gospodarstwem gorliwie, poszedł trybem ojca i jeździł na folwarki, dozorował sam wszystkiego, konferował z ekonomem, pisarzem, karbowym — i polował dużo. Poczém zawsze niby więcéj jeszcze zakochany do swojéj podążał Klarci — i ani mu w myśli postało, by ona nudzić się mogła, a przez to w wymarzone rzucać się sfery i dramata.

Jeździli dość często do jéj rodziców — mieszkających o mil dziesięć. Woził ją w sąsiedztwo, o ile się dało. Zapraszał i do siebie sąsiadów — lecz wtedy panowie zasiadali do preferansa, a młoda pani domu pragnąca czegoś innego — o mało że nie poziewała w kółku, które jako gospodyni zabawiać musiała. To i lepiéj było przestawać z Delfinami, Indyanami, Lelią, Walentyną, z Vardenessami, Feliksami, Alfredami i t. p. —

Lucyan w grudniu jeszcze jeździł dwa razy do P. Udało mu się dość ładne o 6 pokojach nająć mieszkanie z kuchnią, śpiżarnią i potrzebami wszelkiemi, które sam wygodnie i elegancko urządził — by żoneczka była zadowoloną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ANDRZÉJ NIEGOLEWSKI.

Całą młodość wywalczył w różnych polach chwały,
Mężnie wszelkie na kraj swój odpierał napaście,
Najwyższą przecież po nim pamiątką zostały:
Wieniec Somo-Sierry i ran osiemnaście.

Nic prawdziwszego nad te słowa, które Fr. Morawski wypowiedział o pułkowniku Andrzeju Niegolewskim, dzielnym zdobywcy wąwozu Somo-Sierra. Zasłużony to mąż w wysokim bardzo stopniu o sprawę narodową, a że do tego Wielkopolanin i mniéj już obecnemu pokoleniu znany, przeto godzi się uczcić tego nieustraszonego bohatera, choć krótkiém w „Lechu" wspomnieniem.

Urodził się Andrzéj Niegolewski w Niegolewie dn. 30. Listopada 1786 r. Rodzina Niegolewskich należy do najstar

szych w Wielkopolsce. Już przeszło cztery wieki znajduje się włość Niegolewo pod Bukiem w ręku Niegolewskich. Pieczętują się herbem Grzymała.

Młody Andrzéj, odebrawszy staranne wychowanie, zaciągnął się 1806 r. do gwardyi przybocznéj Napoleona. Już po roku został przeniesiony w stopniu podporucznika do pułku lekkokonnéj gwardyi. Brał udział w bitwach pod Iławą, Frydlandem i przy obleganiu Gdańska i Czczewa. Roku 1808 wyruszył ten pułk do Hiszpanii, gdzie cesarz Napoleon gwałtem osadzał na tronie hiszpańskim brata swego Józefa. Gdy Hiszpanie go królem uznać nie chcieli, wnet pospieszył Napoleon na czele licznego wojska do Hiszpanii. Wysłano téż tam trzeci szwadron szwoleżerów, w którym Niegolewski służył jako porucznik. Szwadron ten przebywał kilka miesięcy we Francyi, a potem posłano go do miasta Bayonne, aby pełnić służbę przy cesarzu.

Napoleon zajmował willę Marrac pod Bayonną, a szwadron szwoleżerów stał o ćwierć mili obozem. Tu się zetknął Niegolewski osobiście z cesarzem. W Bayonne wybuchnął ogień. Niegolewski natychmiast stanął z swym plutonem przed pałacem. Napoleon ucieszył się, że szwoleżery tak szybko się uwinęli. Wdał się potem w rozmowę z Niegolewskim, zapytał go się: czemby go bronili, gdyby był napadnięty. Porucznik odrzekł: „Sire, nons avous des sabres (N. Panie, mamy szable). Cesarz na to: „C'est bon" (to dobrze). Potem kazał wykonywać zwroty wojskowe, z czego się młody porucznik dobrze wywiązał.

O pobycie w Marrac podaje Niegolewski następujące ciekawe szczegóły: „Służba pałacowa w Marrac dawała nam w ogóle sposobność poznania cesarza, i u każdego nie jedno miłe wspomnienie zostawiła. Byliśmy tam nietylko naocznymi świadkami ważnych i stanowczych wypadków, aleśmy też mieli sposobność poznać cesarza w chwilach jego zabaw i rozrywek. Wyjeżdżaliśmy, mając służbę z plutonem jako straż przyboczna na przejażdżki kilku milowe za pojazdem cesarza, w którym prawie zawsze i cesarzowa Jozefina była. Nie raz tam ten władzca świata figlami prawdziwie młodzika, umysł swój rozweselał. Tak n. p. przypominam sobie że raz w odnogę morską zwaną Chambre d'amour wepchnął cesarzową, a gdy się zmaczała i trzewiki pogubiła, wziął je i wyrzucił. Chciałem je podnieść i cesarzowéj oddać, ale cesarz mi zakazał a ją tylko z pończochami na nogach, do karety wsadził.

Inną razą cesarz z cesarzową zwiedzając fort Chatteau ...x nazwany, przeszedł przez płot, przez który i cesarzowa idąc za nim, zachaczyła sobie w cierniu suknię z lekkiéj bardzo materyi. Że zaś z obowiązku mego postępowałem pieszo z kilku żołnierzami za nimi, chciałem cesarzową ze zachaczenia wydobyć ale jéj suknię bardziéj w ciernie wplątałem i prawie całą podarłem. Moja ta niezgrabność bardzo mnie zmięszała, ale cesarz z cesarzową śmiali się i żartowali ze mnie."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POGRZEB KOŚCIUSZKI.

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystkie chłonie, — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot boleści,
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie! wraca w trumnie hetman ukochany.

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą,
Daléj pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniéj szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie, szlochająż jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci
To ich sztandar! w koło niego tłum jęcząc wykrzyka:
„Koso nasza, choć zdaleka patrz na Naczelnika."

O panowie! zróbcie miejsce, niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczera skropi,
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

*

I na zamek między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia złotem nabijana,
U jéj progu stanął Kmita i „co zacz on?" pyta;
Swój! swój! świętszy od waszeci, — puszczaj mości Kmita!

Zaruszały się posągi, królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli,
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
I spojrzeniem wniebowziętém wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżéj z łoża wstaje,
I przemawia: „Ja, król chłopków, rękę ci podaję,
Wżdy obadwa my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi, — ja pierwszy, ty drugi."

Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław święty:
„Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim patronie,
Jeżli prawda, że krzyknąłeś raz — *Finis Poloniae!*"

Na to hetman: „O mój ojcze! choć sercem przelękłem
Zanurzałem się w boleściach, tych słów nie wyrzekłem!
Raczéj z mojéj biednéj piersi to ojczyzna wzięła
Z czego wkrótce pieśń urosła: „*Jeszcze nie zginęła!*"

*

Przy ołtarzu arcypasterz i śpiewak Sybilli
Wznosi ręce, każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, stają przed kościołem.

*

Już skończono mszę żałobną; w chłodne ziemi łono
W miejsce gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczono;
. . . .
. . . .

Ten co z pługiem może chodził w ubóstwie za młodu
Spoczął w króla katakombie — hetman, król narodu!
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk rozpaczy: „Och, już go zamknęli!"

„Och, już wzięli Naczelnika, och, już ty nie naszy!
Ciemność sklepień, blask pozłoty, serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiéj tobie z nami leżeć na zielonych polach.

Na zieloném, czystém polu, na zielonéj łące
Każdy ptak by ciebie witał i słońce wschodzące,

Śród upałów twéj mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.
Z białéj Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką,
Tybyś cieszył się z jéj brzęku choć śpiący i niemy,
Cóż dopiero kiedy kosy na sztorc nabijemy!
Jeźli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiéj znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie;
Trudne pisma na nagrobkach, mało kto z nas czyta,
Dziecko wskaże na mogiłę: „A czyja to?“ — spyta.
Tak lud żali się i marzy; urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa;
Zamknął uszy na głos świata, własnéj głębi słucha
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z ducha!

*

I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny,
Próżna-ż ona! cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz —
Lud zatroskał się i myśli .... „Hej, do Maciejowic!
Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia,
Więc tę ziemię krwią przesiąkłą bierzcie jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament.“
Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnéj pracy
Biegną pany i kapłany, chłopy i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmięszano a tłumnie,
Jak przykazał duch miłości pracują rozumnie.
Miłość wiąże i umacnia, — praca idzie chyżéj,
A krakowska cała ziemia woła: „Wyżéj! wyżéj!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie.“
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie....
I urosła; już ją zewsząd widzi kraj daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jéj w straży będą Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie, a zostanie: Mogiła Kościuszki! *)

Kornel Ujejski.

---

*) Do najpiękniejszych poezyi Kornela Ujejskiego a do pięknieiszych na polskim Parnasie zaliczamy wiersz: *Pogrzéb Kościuszki*, odznaczający się wielką potęgą natchnienia, miłością ludu i wspaniałym językiem. Dwie tylko zwrotki rażą, gdzie jest mowa o kaznodziei pogrzebnym. Opuszczamy je dla tego w tekscie, jednakże tu podajemy je osobno. Otóż po wierszu:

„Oni, co gdy kościół pełny, stoją przed kościołem.“

czytamy:

Na ambonie krasomówca nie kapłan natchniony,
Krągłe słówka i świecące wysyła z ambony,
I sukmanę coś hetmańską bramuje i złoci,
W obec trumny coś wspomina o carów dobroci!

Hej hetmanie, hej jedyny! całun z siebie ściągaj!
Zwróć się twarzą do kapłana, rzeknij: „Nie urągaj!
Patrz na lud ten, co w dziedzińcu przy twoich słów chrzęście,
Płacze za mną, modli Bogu, — ale ściska pięście!“

Zarzut uczyniony kaznodziei zdaniem naszém niesłuszny. Trzeba go sądzić podług ówczesnych, a nie dzisiejszych poglądów. Cesarz Aleksander nadał Królestwu konstytucyą, (czego dwaj inni monarchowie nie uczynili) a ceniąc Kościuszkę przyczynił się, aby jego zwłoki złożono na Wawelu, to też trudno go za to potępiać. W każdym razie nawet choćby to zaczepienie słuszném było, razi przecież jako polemika. Prawdziwe piękno potrzebuje przedewszystkiem pokoju. Ponieważ pragniemy, aby tego wiersza uczyła się młodzież polska, przeto zapewne nie poczytają nam za złe ani poeta ani czytelnicy, że te dwie zwrotki opuszczamy, tym więcéj że podajemy je osobno.

Pamiętnik

Rajmunda Bronikowskiego.

Chcąc pozostawić przyszłości pamiątkę, umyśliłem skreślić od urodzenia bieg życia mojego.

Urodziłem się w mieście Wschowie w roku 1787 dnia 11go Sierpnia, dano mi na chrzcie imię Rajmund. — Rodzice moi, Ojciec Antoni Oppeln Bronikowski, matka z Rogalińskich Anastazya Bronikowska. Rodzice moi posiadali majętność w powiecie Krobskim dawniéj Kościańskim, Golejewko z przyległościami.

Ojciec mój posiadał urząd komisarza cywilno-wojskowego powiatu Kościańskiego i ziemi Wschowskiéj przed zaborem kraju. — Nadmienić muszę, iż większa część obywateli zjeżdżała się dawniéj do Wschowy na wiosnę — jedni dla kuracyi, gdzie podówczas znajdował się słynny doktór Knoll, który przez szczęśliwe kuracye umiał sobie zjednać zaufanie całego ogółu okolicznych obywateli; jedni dla kuracyi, drudzy dla towarzystwa zjeżdżali się i czas tam całéj wiosny przepędzali; to było też przyczyną, iż rodzice moi raz po raz tam przyjeżdżali i pewien czas zamieszkiwali, i to było powodem mego tam urodzenia się.

Początkowe moje wychowanie było na wsi; było nas trzech braci, pomiędzy którymi ja byłem najmłodszy. Rodzice trzymali dla nas nauczycieli, pierwszych nie pomnę, lecz ostatni u którego braliśmy początkowe nauki był Józef Dąbrowski ze szkoły Rycerskiéj Kadetów, w Warszawie pod dyrekcyą Xięcia Adama Czartoryskiego zostającéj. Człowiek utalentowany, prawie we wszystkich naukowych wydziałach biegły, posiadał języki, łaciński, francuski, niemiecki, był biegłym w matematyce i rysunkach. — Późniéj matka nasza wyjechała z nami do Wrocławia wraz z nauczycielem naszym. Bracia moi będąc już bardziéj przysposobieni w postępie nauk i języku niemieckim, chodzili do szkoły kalwińskiéj pod nazwiskiem „Friedrich-Schule“ a ja brałem prywatne godziny. Gdy bracia moi ukończyli nauki i po odbytych examinach mieli być posłani do Frankfurtu nad Odrą do akademii ówczas tam egzystującéj, ja oddany zostałem na pensyą do Francuza profesora prywatnego Hautpierre, u którego rok czy dłużéj zostawałem we Wrocławiu. Późniéj przeznaczony zostałem do szkoły budowniczéj w Wrocławiu gdzie do roku 1807 zostawałem aż wojska fra[ncuzkie] wkroczyły do Berlina i Ślązk opanowały. Wtedy rodzice moi odebrali mnie z Wrocławia; w tym samym też roku ojciec mój umarł.

Poruszenia w kraju nie dozwoliły tak mnie jak i braciom moim w naukach się daléj kształcić. Wszystka młodzież do wojska się zaciągała t. j. do pułków polskich, które zaczęły się organizować. Obydwaj moi bracia idąc za odgłosem odradzającéj się ojczyzny w szeregi wstąpili; starszy wstąpił do pospolitego ruszenia, drugi zaciągnął się do regularnego pułku, który Łącki formował; ja zostałem przy owdowiałéj matce; gdy rozpuszczono pospolite ruszenie, brat mój starszy Wiktór wrócił; przy rozpoczęciu organizacyi rządowéj matka moja wysłała mnie z Floryanem Rożnowskim zięciem wojewody Wybickiego do Warszawy. Tam przeznaczono mnie na assesora do izby administracyjnéj w Poznaniu pod prezydencyą byłego generała Górzyńskiego z Dobrzycy,

a Rożnowskiego na podprefekta powiatu Krobskiego. — Przebywszy w izbie administracyjnéj pół roku, przeznaczony zostałem jako assesor do urzędu poborowego i byłem jako adjunkt przy dawnym pruskim Steuer-Rath'cie Tymroth w Poznaniu.

Gdy nadszedł rozkaz rządu Najwyższego z Warszawy aby z izby administracyjnéj z Poznania wybrano czterech assesorów z grona swego i przysłano ich do Warszawy dla nauki prawa francuzkiego, wybrano 1) Kazimierza Bilinskiego. 2) Niemojowskiego z Warszawy 3) padł los na mnie. 4) Wronieckiego syna kupca z Poznania. Przybywszy do Warszawy Bilinski dostał się do ministra wewnętrznych interesów; Niemojowski do ministra skarbu; mnie przeznaczono do ministra sprawiedliwości hr. Łubieńskiego. Ztamtąd przeznaczony zaraz zostałem do prokuratoryi generalnéj sądowéj pod dyrekcyą generalnego prokuratora Taczanowskiego; tam pracowałem w biórze jego przez czas niejaki.

W ciągu czasu tego generał Mikołaj Bronikowski przysłał do mnie służącego swego z tem wezwaniem, abym go odwiedził; z początku sądziłem że to omyłka, lecz powtórnie będąc wezwany udałem się do niego. Z początku czynił mi wyrzuty, iż się do niego nie zgłosiłem, tłómaczyłem się, że obowiązki do których przeznaczony zostałem, nie dozwoliły oddalać się. Późniéj oświadczył mi swoję przychylność i ofiarował mi swój dom, abym bywał u niego, przyjąłem to z uprzejmością i przebywałem w domu generalstwa Bronikowskich, pełnym gościnności i gdzie pełno towarzystwa znajdowało się. Bywałem z nim na wieczorach u Xięcia Józefa Poniatowskiego w pałacu, pod blachą, u generalstwa miałem sposobność wiele osób poznać. Zapytany raz od generała, dla czego obrałem sobie stan cywilny, dałem mu tłómaczenie że takie było życzenie matki méj. Generał na to dał odpowiedź: „Jesteś człowiekiem młodym, przyzwoiciéj by było abyś w szeregi wojskowe wstąpił, z tym dodatkiem; iż matkę jest obowiązek szanować, ale usługi dla ojczyzny są również obowiezujące, i radził mi abym wstąpił do wojska, szczególnie że się teraz otwiera pole, bo kampania naprzeciw Austryi się rozpoczynie. Te kilka wyrazów generała tak przenikły serce moje i uczucie, że cały zajęty zostałem wstąpieniem w szeregi wojskowe.



Mogiła Kościuszki.

Zbliżały się święta Wielkanocne, wyprosiłem sobie od generalnego prokuratora pozwolenie jechania na święta do mojéj matki, oświadczyłem Generałowi, iż wyjeżdżam lecz skoro uwiadomiony zostanę iż się kampania zbliża, wrócę. Generał przyrzekł mnie uwiadomić, co téż ziścił i w ciągu świąt uwiadomił mnie, a ja niebawnie wróciłem do Warszawy. Nie zastałem już Generała, bo wszystko wojsko z Warszawy wymarszerowało na plac boju pod Raszyn! W takiem położeniu znajdując się, udałem się do saméj pani Generałowéj Bronikowskiéj z zapytaniem, czy p. Generał nie zostawił dla mnie jakiego polecenia; oświadczyła, iż jest karteczka z poleceniem, abym się udał do obozu. Gdym jéj oznajmił, iż jest rozkaz nikogo z miasta nie wypuszczać, więc trudno będzie to polecenie wypełnić, oznajmiła mi, iż usunie wszelką trudność i wyrobi u gubernatora francuzkiego pana *Simion* pozwolenie wyjechania do obozu, poleciła mi udać się nazajutrz do niego i przyrzekła, że dziś będzie u niego i wyrobi pozwolenie. Podziękowałem za tak łaskawe względy i wróciłem do mego hotelu podówczas Rosengarten, dla przysposobienia się do jutrzejszego udania się do obozu. Kupiłem konia od koniuszego hrabi Osolińskiego i urządziwszy się zupełnie poszedłem na salę do obiadu, gdzie zastałem mnóstwo młodzieży z Galicyi, Wołynia i Podola w chęci téż dostania się do obozu, lecz z powodu owego zakazu wstrzymani zostali. Ja mając już zapewnienie od Generałowéj Bronikowskiéj, iż pozwolenie uzyskam, oświadczyłem publicznie, iż jeżeli chcą dopełnić swych życzeń, to ja podejmuję się ich przeprowadzić, i zaproponowałem aby jutro rano przed godziną szóstą na plac hotelu się zjechali. Moję propozycyą z chęcią przyjęto i przyrzeczono na oznaczony czas się stawić. Jakie wtenczas uczułem wewnętrzne ukontentowanie, gdy na drugi dzień przed moją stancyą na dziedzińcu dziewiętnastu dzielnych uzbrojonych młodzieńców, na koniach stanęło. Wtem przybył z obozu Alexander Bniński i zdziwił się co znaczy ten oddział. Gdy mu powiedziano że to są ochotnicy co się do obozu mają dostać, powiedział, naprózno te usiłowania, bo nikogo nie puszczą. Wtenczas ja wystąpiłem i oświadczyłem, iż na moję odpowiedzialność biorę i spodziewam się, że nas wypuszczą. Wsiadłszy na konia zakomenderowałem naprzód marsz i przed pomieszkaniem Gubernatora Simion, który na długiéj ulicy mieszkał, z oddziałem 19tu stanęliśmy.

Tam trafił mnie komendant placu pułkownik Kamiński, który w tym samym pałacu gdzie gubernator miał na dole kwaterę, i zapytał mnie jaki mój zamiar. Gdym mu oświadczył, że chcemy się do obozu dostać, odpowiedział, to próżno, bo jest zakaz! — Oświadczyłem mu z mojéj strony, że interes do Gubernatora. Rozśmiał się ironicznie! Ja zostawiwszy oddział na koniach sam poszedłem na górę i zameldowałem się adjutantom prosząc, żeby mnie gubernatorowi zameldowali. Kazano się zatrzymać, że Gubernator śpi jeszcze; lecz w parę minut kazał mnie Gubernator wezwać; gdym mu zamiar jechania do obozu oświadczył i prosiłem o pozwolenie, z chęcią zezwolił, lecz skoro dodałem, że mam jeszcze

współkolegów w liczbie 19, wyskoczył z łóżka do okna i obróciwszy się do swoich adjutantów zawołał pełen zadowolenia: „Voila les braves Polonais, c'est une brave nation; Allez vincre!" i napisał ołówkiem na karteczce, że wolno przejechać do obozu, i uściskawszy mnie, pożegnał. — Już na dole czekał na mnie pułkownik Kaminki, ciekawy będąc czy pozwolenie otrzymam. Skoro mu okazałem na piśmie, zawołał! „to szczęśliwym możesz się nazwać!" Gubernator oddając mi pozwolenie dodał: Mais aucune voiture! Odpowiedziałem: Monseigneur: un soldat n'a point besoin de voiture, nous sommes tous des voitures — na to Generał: c'est brave. Wyjechaliśmy szczęśliwie przez miasto, obdarzeni zostaliśmy różnemi zapasami przez obywateli miasta, którzy z okrzykiem radości żegnali nas. Wyjechawszy za rogatki Jerozolimskie ku Raszynowi, ujechawszy milę drogi usłyszeliśmy strzał armatni; właśnie druga godzina wybiła po południu, po tym wystrzale domyśleliśmy się, iż to oznaka do ataku; późniéj dostrzegliśmy zdaleka kurzawę z któréj wysunął się jeździec zmierzający ku nam, był to adjutant Xięcia Józefa Poniatowskiego, Antoni Potocki, którego znałem, z zapytaniem co to za oddział. Gdym mu powiedział, że to ochotnicy, zaprowadził nas przed Xięcia, który nas uprzejmie powitał; i tam spotkałem się z Gen. Bronikowskim. Odkomenderowano nas zaraz pod komendę Gen. Kaminskiego, który już potykał się z Austryakami. Gdzie się moi współtowarzysze co razem przybyli, późniéj podziali, żadnéj zdać nie umiem relacyi, bo w rzęsistym ogniu będąc i nie mając pewnego oparcia u żadnego pułku, porozpraszaliśmy się, późniéj nawet nie miałem już sposobności w całym ciągu kompanii spotkać się z którym z nich, ani ich nazwisk nie przypominam sobie.

To był pierwszy początek mojéj kampanii w batalii pod Raszynem. Byłem przytomnym śmierci walecznego pułkownika 8go pułku piechoty Godebskiego.

Również gdym zoczył, że wśród batalii Gen. Fiszer był rannym, przyskoczyłem do niego na koniu, a zapytany od niego czy nie wiem gdzie się doktorzy znajdują, zaprowadziłem go, po opatrzeniu ruszyłem z nim w ogień; gdy został drugi raz ranny w bok, chciałem go znowu odprowadzić do doktorów lecz chociaż był osłabiony, sam do nich pojechał i mnie kazał się wrócić do grobli do Raszyna i zbierać rozproszonych. Znajdując się wśród rannych, gdy ci pragnęli napoju, dostrzegłem studnią i znalazłszy kawał przetłuczonéj miski, kazałem z rannymi się zbliżać i podawałem im wodę do picia, było to już wieczorną porą, wtem usłyszałem głos znajomy zapytujący się, co się to znaczy? Odpowiedziałem że żołnierzom rannym wodę do picia podaję; podniosłszy głowę w górę, poznałem że to był Xiąże Józef na koniu, który przy mnie stał, i zawołał, nie mógłbyś i mnie podać wody? Odpowiedziałem, Mości Xiąże! tylko mam miskę stłuczoną. — To nic nie szkodzi, podaj; napił się i odjechał. Po odjeździe Xięcia usłyszałem drugi głos znajomy, co ty tu robisz? był to dobrze mi znajomy Stanisław Chłapowski, adjutant Gen. Dąbrowskiego. Generał zapytał go z kim rozmawiał, to jest z Poznańskiego Bronikowski, odpowiedział Gen. Generał kazał mu mnie się zapytać, czybym nie chciał być przy nim. Ja odpowiedziałem Chłapowskiemu, że z chęcią propozycyą tę przymuję ale służby wojskowéj nie znam; to nic nie szkodzi, odpowiedział Generał, i kazał jechać za sobą. Już wtenczas zaczęły oddziały cofać się z placu boju od Raszyna ku Warszawie w nieładzie. Gen. Dąbrowski to dostrzegłszy, kazał mi dojechać do rogatek z rozkazem, ażeby nikogo nie wpuszczać do miasta. Spełniwszy ten rozkaz, wracam na miejsce lecz już Gen. nie zastałem, wśród ciemności trudno było go dostrzedz, którego nie znałem i pierwszy raz poznałem wśród batalii i do tego pod wieczór; byłem więc w ambarasie gdzie bym go mógł znaleźć, lecz przyszło mi na myśl wrócić do rogatek i zapytać się, czy Xiąże z Generałami nie przyjechał do Warszawy? skoro oficer od Warty mnie zapewnił, że już przyjechali, chciałem za nimi ruszyć lecz oficer nie chciał mnie przepuścić, lecz oświadczywszy mu, że to ja sam co przywiozłem ten rozkaz aby nikogo nie wpuszczać, więc pan nie możesz mnie wstrzymywać, mówiłem, bo muszę za Generałami jechać i raport zdać, tym fortelem udało mi się dostać do miasta; lecz gdzie szukać Gen. u którego być miałem, w nowy ambaras zostałem zajęty. Udałem się pod blachę do zamieszkania Xięcia Józefa do pałacu Krasińskich do komissyi rządowéj, nikogo jednak nie zastałem. Szczęściem natrafiłem na starego weterana, ten dopiero mnie objaśnił, żeby się udać na długą ulicę do zamieszkania Gubernatora francuzkiego gdzie z pewnością Xiążę i Generałowie znajdować się będą, i trafiłem szczęśliwie, była tam u niego rada wojenna. Udałem się do adjutantów Gubernatora, aby się dowiedzieć czy się Gen. Dąbrowski tam znajduje; skoro mnie zapewnili o jego bytności, prosiłem czybym się nie mógł widzieć z Chłapowskim, adjutantem Gen. Dąbrowskiego. Uczynili mi tę grzeczność i oświadczyli mu moje życzenie, a Chłapowski zaraz przybył z oświadczeniem, że się Generał o mnie pytał, i kazał mi się zatrzymać aż rada wojenna się skończy a on poszedł zameldować mnie Generałowi. Czekałem więc do ukończenia rady wojennéj, która aż do 12téj godziny w nocy trwała. Zyskałem przez ten czas oczekiwania, bo adjutanci gubernatora byli tak grzeczni i poznosili mi dużo jedzenia z kolacyi, która się podczas sesyi odbywała, bardzo skorzystałem z téj grzeczności, bo znużony i zgłodniały po batalii byłem, która od 2giéj godziny po południu aż do 9téj w wieczór trwała; oddalić się z miejsca gdzie Generała zastałem nie chciałem, szczególnie mnie to wstrzymywało, że mi kazał za sobą czekać.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Przypadek na polowaniu z niedźwiedziem.

Pewien szlachcic tak był wielkim zwolennikiem polowania, że i w święta polował, choć staropolskie przysłowie powiada, że kto w święto poluje, djabłu usługuje. Tak téż pewnéj niedzieli wieczorem wziął ów szlachcic flintę i daléj na kaczki do jeziora, które było bardzo bagnistém.

Wyżeł począł po krzakach ciekać, aż naraz zacznie grubym głosem szczekać, co myśliwi za znak mają, że wielki zwierz w pobliżu. Ów myśliwiec sądził, że to wilk zapewne się tłucze i dla tego nie wiele co sobie z szczekania robił. Wtém nagle wyżeł z podniesionym włosem do góry dopada szlachcica i skomląc szuka przy nim schronienia.

Strzelec odwiódłszy półkurcze, czeka spokojnie, aż tu pędzi ogromna niedźwiedzica z dwojgiem młodych.

Myśliwiec przestraszony nie ważył się jéj strzałem przywitać, gdyż fuzya tylko kaczym śrótem nabita była, a więc gdyby chybił, toby ją tylko rozdraźnił. Niedźwiedzica mrucząc, pędzi prosto na strzelca. Gdy już była o jakie tylko 15 kroków oddalona, wtedy drżącą ręką rzucił fuzyą na ziemię, ale jakoś niechcący ruszył za cyngiel i wypalił pomimo swéj woli. Niedźwiedzica ryknąwszy olbrzymim głosem, wspięła się na tylne łapy i daléj obces na niego. Ten w bok uderzywszy, zaczął zmykać co siły w kierunku jeziora. Nie uważał, że tam była bagnista przepaść, ubarwiona po wierzchu zieloną trawą. Wbiegł na to bagno pędem i zaraz téż popadł w błoto po szyję. Byłby zapewne utonął, gdyby się nie był schwycił za sitowie, rosnące nad brzegiem.

Niedźwiedzica w szalonym pędzie rzuca się prosto na niego, lecz skok był za gwałtowny, przesunęła się tedy obok niego, ulgnęła w błocie a niedługo krwią rzygając życie zakończyła. Niedźwiadki małe nie poszły za matką w błoto, ale siedząc nad brzegiem mruczały a pies na nie szczekał. Strzelec widząc, że niedźwiedzica się nie rusza, wygrzebał się za pomocą sitowia z błota a przestraszony i błockiem powalany ruszył do domu.

Nazajutrz udał się z kilku ludźmi w to miejsce. Niedźwiadki siedziały jeszcze smutne nad bagniskiem. Wnet rzuciły się psy na nie i podusiły. Potem myśliwcy wywlekli niedźwiedzicę z błota. Przy zdejmowaniu skóry spostrzegli, że cały nabój ugodził ją w piersi i porozrywał jéj płuca i dla tego zdychać musiała.

Szlachcic za skórę i tłustość otrzymał pięć dukatów, ale już więcéj w dni świąteczne nie chodził na polowanie.

Na wieży Strasburgskiéj.

Wysoko w niebo kamienną strzałą
Ubrana w kwiaty fantazyi ludów,
Niby modlitwą tak skamieniałą
Sterczy nad inne wieżyca cudów!

A tak ubrana świątecznym strojem
By myśl człowiecza do nieba wzlata,
I niesie w górę tytanów znojem,
Ofiarę wieków dla Zbawcy świata.

Od swych ołtarzy tak w niebo płynie
By duch modlitwy, by pieśni głosy
Jak by je niosąc ku téj wyżynie
Wskazywać chciała — niebiosy!

Pod strop niebieski — w skrzydlate chmury,
Gdzie myśl się wznosi — gdzie dusza zmierza,
Krzyż zawieszając na te lazury
Najwyżéj sięga Strasburgska wieża!

Modlitwą — myślą — do nieba party
Na te kamienne wstępuję progi, —
I coraz daléj — świat rozpostarty
W atomach klęka pod moje nogi.

I tak malejąc z górskiego szczytu
Mówi do ciebie gdy patrzysz w ziemię,
Czem w obec Boga — w chwili zachwytu
Jest świat ten piękny — czem ludzkie plemię!

W proch! w proch! przed Panem świat tu maleje;
Ja coraz wyżéj na szczyt się wspinam,
Niby już w niebios idę wierzeje —
I już pod krzyżem kolano zginam.

A tak nad ziemią wzniesion wysoko
Nie rozeznając już ludzi z szczytu —
Spojrzałem w niebios przejrzyste oko —
I nic nie widzę — oprócz błękitu!

Bo i ztąd nisko po nad poziomem,
A nie do nieba kamienna droga!..
I ona klęka w prochu atomem,
I jak świat — niczem jest w obec Boga!

Wyżéj! o wyżéj! nad wieżyc szczyty!
Pobożna myśli! w modlitw pokorze, —
Bo tylko w takie strojna granity
Ty jedna sięgniesz — gdzie nikt nie może!

Gdzie Bóg i wieczność!.. a spokój w niebie
Gdzie nieśmiertelne niebios przestworze
Gdzie tylko widzieć nam wolno Ciebie
I Ciebie tylko wychwalać Boże!

Wawrz. Engeström.

Szkoła Wyższa Żeńska w Kościerzynie.

Kościerzyna jest miasto powiatowe w Prusach Zachodnich, o 6 mil od Gdańska odległe. Tam staraniem pewnego zacnego kapłana powstał wyższy zakład naukowy żeński dla katolicko-polskiéj ludności. Początkowo kierowały tym zakładem Urszulanki, a późniéj Córki Miłosierdzia, które aż do r. 1878 tam czynne były. Skutkiem walki kulturnéj musiały czcigodne Siostry ustąpić, mimo to zakład nadal istnieje pod świeckim zarządem. Jak dawniéj, tak i dziś szkoła ta pod naukowym i religijnym względem odpowiada swemu zadaniu. Panienki z dalszych stron znajdują umieszczenie i gorliwą opiekę w pensyonacie. Życzyćby wypadało, aby obywatelstwo mianowicie Prus Zachodnich oddawało swe córki do tego zakładu zamiast wywozić na wychowanie daleko za granicę.*) Dodajemy także, że w Kościerzynie znajduje się katolickie seminaryum nauczycielskie. Zapewne wiadomo, że Kościerzyna, Kartuzy, Wejherów i Bytów są główne miasta ziemi Kaszubskiéj czyli dawnego Pomorza.

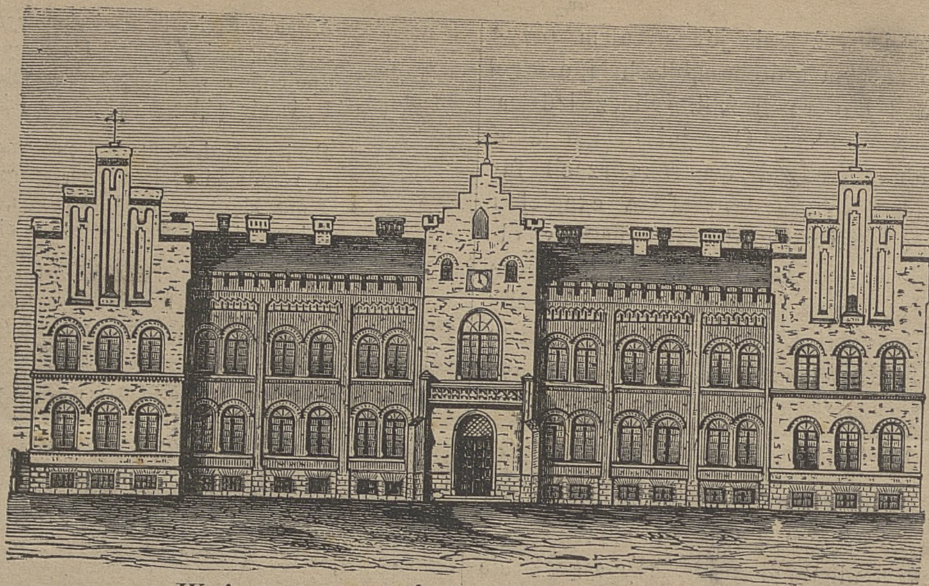
Wiadomości literackie.

Konkurs historyczny. Towarzystwo przyjaciół nauk ogłasza dla chcących ubiegać się o nagrodę zadanie następujące: Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami dawnéj Polski, od czasu wystąpienia ich na widownią dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.

W rozwiązaniu tego zadania pożądany jest szczególny wzgląd na:

a) związek etnograficzny między pomienionemi plemionami słowiańskiemi a ludnością Polski Piastowéj;
b) stan kultury tychże plemion w owéj epoce, mianowicie z rzutem oka na religią, zwyczaje i obyczaje, ustrój polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnéj w ogóle;
c) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególném uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniéj ostateczną zagładę rozmaitych plemion;
d) wreszcie stósunek między temi plemionami a Polską.

*) Bliższych szczegółów o zakładzie zasięgnąć można pod adresem: Pani Klementyna Łaszewska. Kościerzyna (Berent WPr.)



Wyższa Szkoła Żeńska w Kościerzynie.

Praca wyczerpująca w zupełności przedmiot ten oraz mająca odpowiednie zalety układu i stylu a obejmująca przynajmniéj 25 arkuszy druku w dużéj ósemce otrzyma 1500 marek nagrody.

Jeżliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra, to jest odpowiadająca przynajmniéj głównym warunkom zadania otrzyma 900 marek nagrody.

Pozostałe 600 marek zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzedniem, albo téż rozdzielą się między rozprawy przynajmniéj częściowo przedmiot wyczerpujące.

Prace nagrodą uwieńczone pozostają własnością autorów, którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, zarząd, jeżli uzna stósownem, ogłosi je swym kosztem na dochód Towarzystwa. Manuskrypt przeto musi pozostać w rękach zarządu.

Każdy rękopism opatrzony być winien dewizą lub jakim innym znakiem a nazwisko autora dołączone w zamkniętéj kopercie z równém oznaczeniem.

Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1 października 1879 roku pod adresem:

Hieronim Feldmanowski w Poznaniu, Młyńska ulica 35

Zarząd Towarzystwa przyjaciół nauk pozn.

Popiersie Kraszewskiego. W tych dniach mieliśmy sposobność widzenia popiersia Kraszewskiego w płaskorzeźbie. Wykonawcą jest p. Przybyło Krakowianin, bawiący chwilowo w Poznaniu. Naszém zdaniem utwór ten jest bardzo dobrze wykonany. Rysy twarzy jubilata są wiernie oddane. U góry ptaszę z wiankiem czy gałązką prześliczne. Wieniec na dole misternie wykończony. Mniéj się nam podoba głowa czy maska na dole w środku wieńca. Życzyćby wypadało, aby tak towarzystwa, jak i pojedyńcze osoby nabywały tę prawdziwą ozdobę mieszkań. Cena jest bardzo umiarkowana. Zgłaszać się można do handlu pp. Grünastla i Nowickiego ul. Jezuicka w Poznaniu, gdzie p. Przybyło ma swoję pracownią.

Pochodnie Nerona. Tak się zowie sławny obraz Siemiradzkiego, wystawiony niedawno w Poznaniu w sali Szkoły Realnéj. Należy ten obraz do najsławniejszych nowoczesnych płodów malarstwa. Cieszyć się wypada, że i Poznań może ten obraz podziwiać. Może to będzie początek, że i u nas sztuki piękne więcéj niż dotąd, zyskają uznania.

Czarna Księga 1863—1868 przez autora „Powieści o Horożanie." Dzieła tego wyszło drugie wydanie nakładem F. Chociszyńskiego, a w komisie księgarni Żupańskiego, 327 str. Cena 3 marki. Zwracamy uwagę czytelników na to ważne i pouczające dzieło. Pierwsze wydanie w Krakowie wywołało wielkie wrażenie. Nie wątpimy, że i nowy oddruk zjedna sobie szerokie koło czytelników, na co istotnie zasługuje.

Na Rozdrożu. Obrazek z życia wiejskiego napisał Karol Paszliński. Dziełko polecone przez Dyrekcyą Towarzystwa Oświaty Ludowéj w Poznaniu. Poznań, M. Leitgeber i Spółka 1879. 234 str. Jestto powieść ludowa. O ile z pobieżnego przejrzenia sądzić można jest dobrze napisana. Donosząc tymczasem o wyjściu, pomówimy później o tém dziełku obszerniéj.

Telefon „Lecha."

Pan H. S. z Żydowa. Dotąd tylko w Galicyi przywrócono prawo przeciw lichwie a wniesiono w reichsracie wiedeńskim, aby je i w Styryi przywrócono. W sejmie pruskim zaś zamierza centrum stawić wniosek, ażeby w Prusach to dawne prawo odnowiono. Jednakże dotąd ani w Austryi, ani w Prusach nie stawiono, o ile nam wiadomo, wniosku, aby skazanych za przekroczenia prawa lichwiarskiego lub za oszukaństwo karać banicyą. Wprawdzie wniosek tego rodzaju nie byłby nic nowego w kraju, z którego wywołują księży i socyalistów za pewne wykroczenia, ale gdyby go stawiono, to tak zwany internacyonał złoty okazałby się zapewnie w obec nie zapobiegliwszy od tak zwanego czarnego i czerwonego.

K. w P. W Wielkopolsce o ile nam wiadomo usypano na cześć Kościuszki kopiec w Obiezierzu w ogrodzie dworskim, a znany stary Wiarus z pod Góry Lechowéj, zakładając nowy folwark przy Trzemesznie, nazwał go Racławicami na pamiątkę owych Racławic w Krakowskiém, gdzie to lud kmiecy kosami zdobywał armaty.

ŁAMIGŁÓWKI.

1.

Najpierwsza nigdy spodu nie oznacza;
A druga zgłoska przez Italją płynie;
Druga i trzecia, nadzieja oracza,
Albo tło znaku w szlacheckiéj rodzinie;
Ostatnia — nie ja, nie ty, ani ona;
Całość podobna do . . . . —

2.

Pierwsze dwie zgłoski — to barwa godziny
Westchnień i marzeń po niebiańskim szlaku;
Druga i trzecia przez starszych rodziny
Dawana młodszym, zwykle nie do smaku;
Lub jest z uszczerbkiem, dla braku nadzoru,
Cudzych pieniędzy a swego honoru;
Aby zaś całość tem łatwiéj poznano,
Powiem że noszi w sobie własne miano.

D.

„Lech" wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 2 marki, roczna wprost w redakcyi 8 marek, dla Austryi 5 złr., dla Ameryki 3 dolary. W Poznaniu dla tych, co sami w ekspedycyi (ul. Wodna nr. 15) odbierają, ćwierćrocznie 1 m. 50 fen. Listy dochodzą pod adr. *Lech Poznań.*

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.